

WSPOMNIENIA Z DEPORTACJI DO ROSJI  
w latach 1940-46

STŁAD RODZINY:

Ojciec: Tomasz SARNA

Matka: Franciszka Sarna

Rodzeństwo: Roman, Edward, Katarzyna, Genowefa, Stefania, Bronisława,  
i Józefa najmłodsza, która wspomnienia te spisała.

Rodzina nasza miała duże gospodarstwo we wsi Dresina II, były to łąki, pola uprawne i las, wszystko otoczone rowami melioracyjnymi, sasiadowało z pastwiskiem księży z Wietlina. Tam setki sztuk bydła dzień w dzień było wypasane i wracało punktualnie do obór. W odległości około 3 km. - za pastwiskiem, była Dresina I ze szkołą, do której uszczęszczaliśmy i gościliśmy, który prowadził do Bobrówki ze stacją kolejową a następnie do Laszek z naszym kościołem parafialnym. We wrześniu 1939 roku nie byliśmy w komplecie, ponieważ dwóch najstarszych braci powołano do obrony Ojczyzny. Zabrali najlepsze konie i wyruszyli na wojenkę, pozostawiając rozpaczoną Mamę i nas we łzach. Jak wiadomo wojowanie długo nie trwało. Celając się wraz z frontem, Roman, pewnego upalnego dnia, ukradkiem wstąpił do domu, aby się przebrać, odświeżyć i zobaczyć żonę wraz z 7-miesięcznym synkiem. Miał na to zaledwie kilka minut, gdyż jednostka jego była w odwrocie. Prosił ojca o podwiezienie, lecz było to wielkim ryzykiem, gdyż ponieważ niemieckie samoloty latały bardzo nisko i urządziły polowania nie tylko na furmanki, ale także na pojedynczych pastuchów. Pomimo wielkiego zdęczenia poszedł więc pieszo do swojej jednostki, której żołnierze w krótkim czasie znaleźli się w niewoli rosyjskiej.

Edek, natomiast, kawalerzysta z Łókkwił z chwilą rozbitcia jednostki został osadzony w łagrach rosyjskich, skąd wkrótce zbiegł. Jednak w trakcie ucieczki został pojmany przez Ukraińców, którzy ~~jęmęwixrxrxrxz~~ ich rozebrali /jak czynili to zwykle/, i w samych tylko kałęczonach uwięzili. A był to grudzień i mroźna zima. Wkrótce udało im się uciec i pewnej nocy zapukali do rodzinnego domu. W wyniku doznanych odmrożeń i zagrożenia chorował długo. Jednak pielęgnowany troskliwie odzyskał siły i zdrowie.

Zima 1939/40 była ostra, ale nie to nas najbardziej niepokoiło, lecz częste wizyty NKWD, podczas których były dokonywane spisy inwentarza żywego i martwego. Każdorazowo kończyło się to tym, że zabierano nam świnie, krowę, konia lub inne, aż nadszedł dzień, 10 lutego 1940 roku, który zapisał się dramatycznie w pamięci wielu Polaków zamieszkujących Prusy Wschodnie.

Miałam wówczas 8 lat, rankiem Mama rozwieszała bieliznę na strychu, był to poniedziałek i tradycyjnie tego dnia opierana była cała nasza 9-osobowa rodzina. Ojciec pojechał do sąsiedniej wsi po prosiaki na hodowlę. Edka również nie było, gdyż poszedł do lasu, aby coś upolować. Normalny tok życia domowego został zakłócony niezwykle hałasem i poruszeniem. To sąsiedzi strwożeni przybiegali z wieściami o wysiedlaniu Dudności z Dresiny I i okolic. Tą akcję brutalnie przeprowadzało NKWD. Kilku z nich zatrzymało przebywającego tam Ojca, wylegitymowali go i kazali zawieźć się do naszego domu. Zawrócił więc i zamiast spodziewanych prosiaków przywiózł Nkwd-istów którzy po wkroczeniu do izby rozkazali: "ręki w wierch". Ustawiono nas w szergu /, w którym i ja stałam z rączkami do góry/. Szukali broni: w pierzynach, komodach i różnych prawdopodobnych i nieprawdopodobnych miejscach, Nieznaleźli jej jednak - była zamurowana w piecu. Po tej rewizji, która nie dała efektu zawołali: "sobiratea!!!"



Mama padła na kolana błagała: "... to wszystko nasze, małe dzieci, pozwólcie nam zostać, dokąd mamy jechać...? O Prągania te, jednak nie, odmieniły naszego losu.

Wśród członków tej komisji, znajdował się nasz znajomy, Ukrainiec, który zmobilizował nas do szybkiego i sprawnego pakowania, nosząc sam rzeczy. Uswiadamiał nam: "Pani Sarnowa, tam Wam się wszystko przyda..." Dzięki tej znajomości pozwolili nawet mamie zrobić masło i zabrać trochę żywności.

Natychmiast zbieraliśmy co wpadło do rąk. W między czasie Edek wrócił z polowania, i po wylegitymowaniu go pozwolono dołączyć do nas. Najbardziej krnąbrna i niechętna ~~była~~ poddaniu się była Kasia. Czyniła wszystko, aby komorę pełną zboża oblać naftą i podpalić. Zorientowawszy się w jej zamiarach, Edek i Ciema usilnie odwozili ją od tego, tłumacząc, że grozi to rozstrzelaniem całej rodziny. Zegnaliśmy się ze zwierzętami, podsypując im ~~w~~ koryta karmą, aby starczyło na wiele dni bez gospodarza.

Dali rozkaz do wyjazdu, a Kasia konsekwentnie sprzeciwiała się. Wtedy funkcjonariusze surowo ostrzegli, że kiedy będzie nadszła, opierała, to przytroczą ją do ściany lub zastrzelą. Rodzina szybko zareagowała.

Kiedy zmierzchało opuszczaliśmy rozpaczeni nasze domostwo załadowanym wozem i z płaczącymi dziećmi. Punkt koncentracji był w szkole w Dresinie, gdzie zjeżdżały się rodziny z całej okolicy.

Następnie ze wszystkich zebranych utworzono kolumnę, dzieci i starszankowie na wozach a sprawni szli na przedzie poganiani przez "organizatorów wycieczki" knutem. I tak dojechaliśmy do Dobrowki.

Rzeczy nasze zostały wyrzucone przy torach, a naszym przeznaczeniem były bydłocze wagony. Selkacja: dzieci, starcy, kobiety do jednych wagonów, a mężczyźni oddzielnie.

W wagonach było ciasno, duszno, ciemno, zakratowane okna i zaryglowane drzwi, a za nimi stał strażnik z "wintówką". Umieszczono tam tylu ludzi ilu zmieściło się na stojąco. Nasze rzeczy, jak wspominałam, leżące bez ~~pańsko~~ przy torach, szabrowali Ukraińcy, i tak z najważniejszych nam zabrali: maszynę do szycia "Singer" - nasi warsztat pracy, skrzypce Edeka i wiele drobniejszych niezbędnych przedmiotów.

Po paru przetasowaniach osobowców, kto ma z kim podróżować ustalono, że rodziny pozostały nie rozdzielone. Postaliśmy miejsca tyle ile zmieściło się ciasno na przyczepach, które były usytuowane po obu stronach wagonu, piętrowo, pod nie, wsuwano tobołki.

Mojej rodzinie dostało się część górnej przyczepy przy zakratowanym oknie, przez które mogliśmy obserwować nasze opuszczone domostwa, a w miarę przemieszczenia się różne miasta, pola zaśnieżone i wsie. Jednak zanim pociąg ruszył przez kilka dni wagony były przetaczane uderzając jedne o drugie z impetem, w następstwie czego ludzie spadali z przyczep, a garnki z gotującą się zawartością zlatywały z otrągniętego żelaznego piecyka, który był umieszczony na środku wagonu i służył nam jednocześnie za kuchnię i grzejnik. Każda rodzina miała swój garnek do którego <sup>każdy</sup> wrzucał co zdołał zabrać z żywności, a jeśli nie miał nic to gorąca woda pusiała mu wystarczyć. Rodziny, które zdołały zabrać cokolwiek do jedzenia dzieliły się swoją strawą z tymi co gotowali tylko wodą.

Nasze położenie było o tyle szczęśliwe, że po kilkudniowym postoju nasz parobek, Ukrainiec, Hażyko, przywiózł nam 20 naszych zarzniętych kur, małe, fasolę, sardło, chleb itp. Mieliśmy co jeść i dzielił się ze wszystkimi. Ten ostatni natomiast powrócił na nasze gospodarstwo, osiedlił się z całą swoją rodziną.

Ukrainiec



W którymś kolejnym dniu postoju, postanowiono nas dożywić. Był to również pierwszy dzień w którym pozwolono nam opuścić wagony, jednak na krótko, tyle ile potrzeba było na zaspokojenie potrzeby fizjologicznej i nebranie do swojego naczynia żupy z orkiszu. /rodzaj pęczaku z miękką kuską/, środek świetny na ból brzucha i wymioty. Wymioty następowały natychmiast a ból pozostawał na długo. Efekt był taki, że wszyscy chorowali.

Li dzwinnymi zwracałam i ja przez okno /nie były oszklone/, po czym chciałam wypluć sobie buzię. Nabrałam lodowatej wody do kubeczka i chciałam sobie ją przygrzać, a że piecyk był wypełniony przydrutowanymi do niego garnkami, więc przystawiłam ów kubek do rozżarzonej do czerwoności rury. W tym czasie przetaczali wagony ludzie padali z przecz, a ja doleciałam wprost na rozpaloną rurę! Z kocią zęcznością uniknęłam przysmażenia twarzy, przygłębłam natomiast całą wewnętrzną powierzchnią prawej rączki sciskając kurczowo kubek.

Opalone miejsce pokryło się najpierw *ombiem* a potem grubym strupem., który nie leczony był dla mnie wielką udręką przez długie miesiące.

Aż wreszcie po kilku dniach ciągłego przetaczania, "szalón" był gotów i ruszyliśmy w daleką drogę - nikt nie wiedział dokąd, jedni mówili, że w gorące inni, że w zimne kraje. Była to noc, ale nikt nie spał, wszyscy strwożeni, powstał jeden płacz w całym składzie pociągu. Przejeżdżaliśmy przez Przemysł, Lwów, Tarnopol, Kijów, Charków, Penderz ~~x xxxxxx~~ Przerzucano nas na szerokie tory, z czego wywnioskowaliśmy dokąd jedziemy.

Granicę Polski mijaliśmy nocą, około godziny drugiej. Nikt nie spał. W całym pociągu powstał ryk płaczu, a potem kto miał jaki ~~x~~ instrument muzyczny to grał, a pozostali śpiewali: "Jeszcze Polska nie zginęła...", oczywiście na stojąco, "Serdeczna Matko", "to się w opiekę..." itp. Wodlitwa nie było końca, aż wszyscy upadli na duchu pośniali zmęczeni...

Jechaliśmy długo, nie zatrzymywaliśmy się nigdzie przez dwie - trzy doby. Zima była surowa, ok-30° stopni. Jeśli pociąg /, dwie lokomotywy- z przodu i z tyłu stanął to tylko nocą i tylko na bocznych torach, po to, aby lokomotywy nabrały opału i wody. Potrzeby ludzi się nie liczyły. Nie liczyło się to, że nie mamy żadnej wody, opału do piecyków, ciężkie przypadki chorób itp. Tym bardziej, że po zjedzeniu wspomnianego orkiszu powodującego wzdęcia i wymioty i okrutne bóle brzucha zgorączkowani ludzie wołali przez zakratowane okna: "Wracza, wody!"

W trakcie krótkiego postoju na czerwonych światełkach, udzielano nam pomocy w postaci aspiryny- na wszelkie dolegliwości. Niczyh innym nie dysponowali. Dalej nie ma co tłumaczyć: ludzie padali jak muchy, a przede wszystkim staruszki, dzieci i intyligencja nie przywykła do trudnych warunków. Na każdej stacji bocznej, wynoszono nieposzczyków z wagonów i porzucano przy torze, za ledwie przysypawszy ich śniegiem.

*Gm*

Po kilku tygodniach jazdy, ok. 28 marca, nastąpił kres naszego "komfortu". Zapowiedziano nam aby się pakować i szykować do opuszczenia wagonów. Właściwie już przyzwyczailismy się do warunków, otoczenia osób podzielających nasz los, mimo, że zdarzały się kradzieże, że wszy nas nakazy. Jedynym środkiem zaradczym na insekty były kąnie, podczas krótkich postojów. Kiedy kapaliśmy się, kobiety i dzieci oddzielnie, mężczyźni oddzielnie, brano naszą odzież wrzucano do parowników, gdzie pod wpływem wysokiej temperatury wszy trzaskały jak granaty.

W związku zaczęliśmy się więc szykować do opuszczenia wagonów, a była to stacja KIROVSK koło Omska. Wyszliśmy w trzaskającym mrozie w lekkich ubraniach z Polski, nie przywykli do tak krainowo różnego klimatu. Zaczęto nas wywozić do podstawianych samochodów, autobusów, ciężarówek, nie troszcząc się o zachowanie składu rodzin po prostu "na wpych".



Z powodu panującego silnego smrodu benzyny ludzie zaczęli wymiotować. Na szczęście podróż nie trwała długo, bo do Omska było zaledwie kilka kilometrów.

*N Omsku* Wlokowano nas w kamienicy ~~xxxx~~ rodzaj szpitala lub szkoły, przy Pl. Sierowa. Tutaj ~~znajdował~~ znajdował się punkt sanitarny, do którego zgłosił się z oparzoną ręką. Opatrunek polegał na tym, że zerwano gruby strup penseta a ranę odiekającą krwią polano jodyną. Ból był nie do opisania!!!

Dzieci po tylu tygodniach jazdy i siedzenia na pryczach, nareszcie mogły sobie pobrykać. Zabawiały się w ten sposób, że do obnażonych gniazdek elektrycznych przykładają klucze wyjęte z drzwi, co powodowało iskrzenie i wstrząsy delikwenta. Sprawiało to wiele uciechy dzieciakom! Legowiska zorganizowano nam na podłodze, ale za to było światło elektryczne, krany z białą wodą i ubikacje. Przebywaliśmy tam kilka dni.

Tym czasem zastanawiano się, gdzie nas pchnąć dalej. Otóż dotychczasowe nasze niewygody były sielanką. <sup>DAŁSZA</sup> Podróż kontynuowaliśmy ciężarówkami pod plancką. Rodziny pogubiły się. Na następnym postoju w Tarze nie mogliśmy odnaleźć Broni. Długo na nie czekaliśmy. Moja siostra Bronia miała wówczas dziesięć lat, przebywała tę trasę oddzieloną od całej rodziny, tak ją wepchnięto. Była zdana na pomoc obcych ludzi. Samocelny często grzeszył w śniegu, kuznie Polacy nie przygotowani do takiej podróży odrażali sobie nosy, nogi, ręce, twarze. Jedynym środkiem zaradczym było nacieranie sobie tych części śniegiem, aż do czerwoności. Do Tary jechaliśmy zamrożonym korytem rzeki Irtysz. Był to kolejny punkt postoju, gdzie czekaliśmy, aż cała kolumna zjedzie się. Niedługo zorganizowano nam w różnych barakach, cerkwiach, magazynach, a wraz innych obiektach jak opuszczone pałace i budowle - pozostałości po świetlanej przeszłości burżuazji rosyjskiej. Wszystkie te pomieszczenia były nie opalone, bez drzwi i okien, gaz a wiatr hulał w nich jak powymach. Stąd też powstawały właśnie i bójkki o lepsze miejsca; nie przy drzwiach czy w przeciągu. W tych warunkach znalazły się dzieci w różnym wieku od niemowląt począwszy ~~ora~~ taruszkowie, którzy sobie sami nie mogli poradzić, o życzliwość nikt nie pytał. Zaczęły szerzyć się również choroby: odmrożenia, skutkiem czego gnęło ciało do kobci, przeziębienia, zapalenie płuc, angina, błonnica, tyfus. O lekach i lekarzu nie było co nawet marzyć *na* nasze wołania strażnik odpowiadał: "Wydzierajesz, a jak nie wydzierajesz tak padochniesz".

Z Tary jechaliśmy już nie samochodami, a saniami (z jednym koniem) które przypadały na jedną rodzinę, nie zależnie od stanu liczebnego. Im dalej posuwaliśmy w głąb taigi tym większy był śnieg, mróz i zaniecie. Na przedzie kolumny szli sprawni mężczyźni i kobiety, za nimi jechały sanie z dobytkiem i dziećmi, na końcu szła natomiast ci najstarsi, dla których nie było miejsca na saniach, a i nie mieli siły aby iść, bez przytrzymania się san. Na saniach pierzany porozrywane butami typowały piórami jak śniegiem. Mijałymi wiele ruskich wsi, gdzie mieszkańcy wychodzili przed bramy współczuli nam szczerze i płakali nad naszym losem. Rzucali nam niepostrzeżenie rękawice futrzane, szale wełniane, walentki, a także chleb pierogi, słowem co kto miał a co mogło nam poradować w tej niedoli. Oczywiście nie mógł tego zauważyć żaden z konwojentów, bo w przeciwnym wypadku dostawał ten co rzucał i ten co złapał, a dar odbierano.

Biedne koniska, w tradycyjnych "kablakach", sforsowane marszem przez gasy śnieżną, nie utarte drogi, całe białe od szronu, buchające parą, często biegały nie mogąc się podnieść. Przy ludzkiej pomocy były podchowane i doprowadzane do następnego postoju /kolchozy/ i wymieniane.

Kolumna brnęła przez śnieg, często korytem zamrożonego Irtyszu i wzdłuż i wazierz. Najbliższa przyszłość była nam nieznana. Po kilku tygodniach tego marszu, zaczęto nas zostawiać w przygotowanych barakach, porzucanych całkiem przypadkowo w Tajdze.

My i kilka innych rodzin dotarliśmy do miejsca z prawej strony